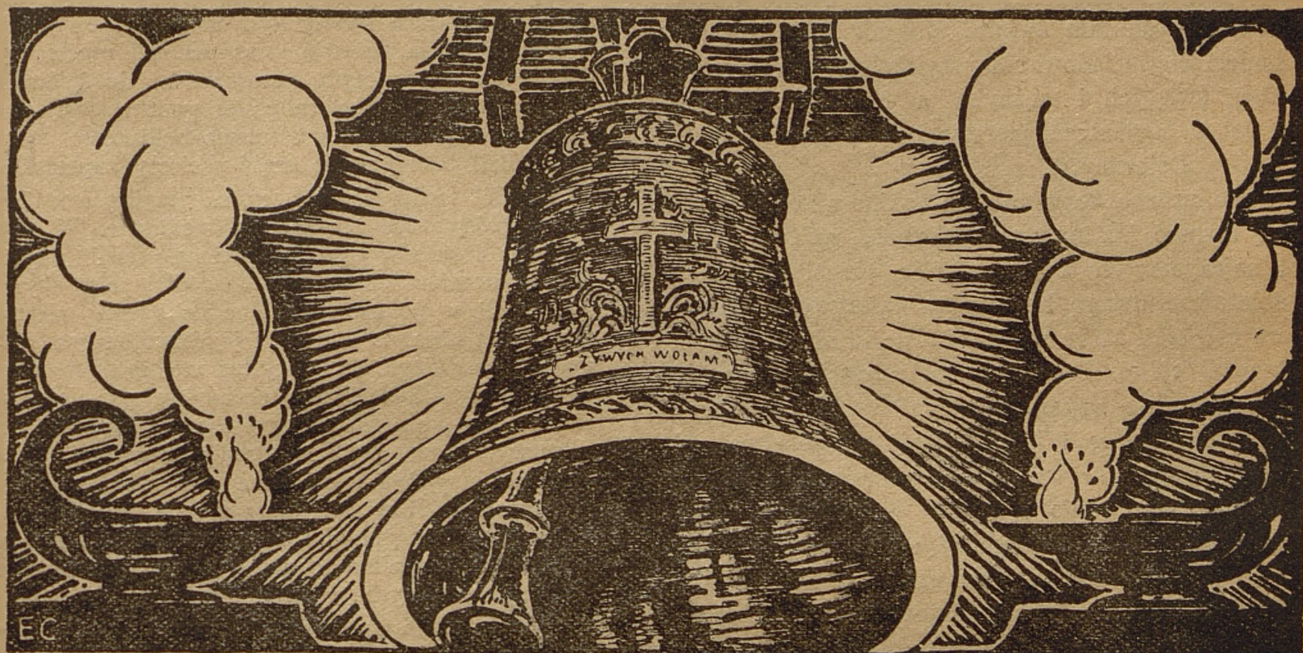
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Cena 20 groszy.**

Nr. 34. Kraków, 22 sierpnia 1926. Rok II.



DZWON NIEDZIELNY

ILUSTROWANY TYGODNIK KATOLICKI.

Przedpłata wynosi:
na cały rok 7 zł, na pół roku 4 zł, na kwartał zł. 2·20.
Numer pojedynczy 20 groszy.
W Ameryce 2 dolary. — We Francji 30 fr.
W Danji 7 koron.
Każdorazowa zmiana 50 gr.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ul. Sienna L. 5.
Nr. P. K. U. 404.712.
Reklamacje niezapieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.

Ponowne przestrogi Ojca św.

30 czerwca r. b. Ojciec Święty przemawiał do zgromadzonych przedstawicielek Związków młodzieży katolickiej, do których między innymi tak się wyraził: „Żywimy nadzieję, że katolicka żeńska młodzież nie ustanie w krucjacie, broniącej prawdziwej kobiecości. Tu chodzi bowiem nietylko o sprawę Chrystusową, ale o ratowanie odwiecznej czci niewieściej. Jeżeli kobieta traci poczucie czystości, skromności i uczciwości, to dlatego, że straciła poczucie godności własnej. Można się łatwo przekonać, jak stosowną jest w tej rzeczy nauka Kościoła, jeśli się ją porówna z opinją świata. Kościół wskazuje zawsze na chwalebny przykład świętych dziewic, matek i męczennic chrześcijańskich, a przedewszystkiem podnosi ten ideał niewieści w najwyższym wzorze Najśw. Dziewicy. I stawia Kościół te idealne postacie tak wysoko, otaczając je taką godnością i czułością, żeby ta wspaniałość samym blaskiem swoim stanowiła najskuteczniejsze ostrzeżenie, nietylko dla sumienia chrześcijańskiego, ale dla ludzkiej godności kobiety, aby ją przed najmniejszem nieuszanowaniem osłonić. Świat tymczasem, ten świat materjalno-zmysłowy, za którym Pan Jezus nie chciał prosić Ojca, chociaż się modlił za swoich krzyżowników i zdrajcę Judasza nazwał przyjacielem, ten świat chce pozbawić kobietę wszelkiego poczucia swej godności, prowadząc ją do niemoralności i bezwstydu wszelkiemi sposobami, ale przedewszystkiem drogą mody. Ta wskazówka powinna chyba wystarczyć do zrozumienia, co trzeba myśleć

o pewnych modach dzisiejszych, które ukrywają w sobie wszystkie najzdradliwsze powaby i **najpodlejsze dążenia świata.** Kościół stara się pobudzić do naśladowania przykładów owych wielkich, świętych i mężnych a chwalebnych niewiast, a zwłaszcza pierwszej z pomiędzy nich, Najśw. Dziewicy.

Podnosząc oczy swe ku takim wzorom, musi się doznać jak najwznioślejszych, najświętszych i najczystszych wrażeń. Świat, przeciwnie, chce skierować uwagę kobiety na fałszywe i kłamliwe miłostki, które w rzeczywistości nie są niczem innem, tylko bezwstydnemi zamachami na jej godność. Nie zawsze wymaga się od nas ofiary z życia. Ale są i inne rodzaje męczeństwa, od których się nikt wyłączać nie może, a tem jest właśnie wytrwanie i stałość w pełnieniu obowiązków, jakie nakłada życie chrześcijańskie. I to jest wskazówka, oraz cel akcji katolickiej“.

Oprócz tego Papież ponowił rozporządzenie, aby damy dekoltowane i w krótkich sukniach nie były wpuszczane do Watykańskiego pałacu.

———o0o———

Ewangelja na niedzielę trzynastą po Świątkach.

Ewangelja według sw. Łukasza w rozdz. XVII.

„Onego czasu, gdy szedł Jezus do Jeruzalem, szedł środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżało mu dziesięciu mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka i podnieśli głos, mówiąc: „Jezusie, nauczycielu, zmiłuj się nad nami“. Których gdy ujrzał, rzekł: „Idźcie, okażcie się kapłanom“. I stało się, gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich, gdy zobaczył, że był uzdrowiony, wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga. I padł na oblicze u stóp Jezusa, dziękując. A ten był samarytanin. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: Zaż nie dziesięciu jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? Nie jest znaleziony, któryby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec? I rzekł mu: „Wstań, idź: bo wiara twoja ciebie uzdrowiła“.

Kościół modlący się.

a) Jutrznia.

Po klasztorach pierwszych wieków wstawano trzy razy w nocy do śpiewania psalmów. (Dziś — ale raz tylko — wstają w nocy na modlitwę brewjarzową Kameduli i Trapiści). Śpiewano Jutrznię, pierwotnie zwaną wigiljami, bo odpowiadała czterem strażom czyli 4 częściom, na które starożytni dzielili noc. Każda straż = wigilja, po trzy godziny — czyli cała noc 12 godz. — od 6-tej wieczór do 6-tej rano. Owe wigilje dzieliły się na trzy części zwane **Nokturnami,** które odpowiadały trzem pierwszym strażom nocnym. Nokturn znaczy tyle co nocna część brewjarza. Ostatnia, czwarta straż tuż nad ranem czyli 6-ta godz. nasza, była przeznaczona do śpiewania Laudes'ów czyli „Pochwał“; ta godzina pierwotnie nazywała się Jutrznią i z trzema nokturnami stanowią (i dziś także) nocną część pacierzy kapłańskich.

Kościół modli się w nocy za przykładem Chrystusa, który noce spędzał na modlitwie. W nocy pojmano Jezusa w Ogrojcu, gdzie się modlił i gdzie polecał uczniom „czuwajcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie“. Noc ze swemi ciemnościami jest obrazem szatana i jego rządów przewrotnych i wszelkiego zła. Chrystus modlił się w nocy, bo jako Światłość świata chciał się przeciwstawić ciemności — szatanowi, grzechowi. Dzisiaj trzy nokturny, zwane zwykle Jutrznią-Matutinum i Laudesy powinny być odmówione przez kapłana przed odprawianiem Mszy św., zaraz z rana. Nie mają już tej powagi zewnętrznej cieniów nocnych i lamp pozapalanych, ale mimo to zachowały świeżą piękność i powab pierwszych wieków.

Wszak modlitwy nocne są wspomnieniem dawnych czasów, kiedy to w zaraniu dziejów Kościoła ludzkość śpiewała swemu Bogu pienia w nocy, nad ranem. Gdy się dzień miał zaczynać, gdy jeszcze słońce nie weszło, gdy świat pogański spał znużony całonocnemi zabawami, a przyroda miała się zerwać ze snu, wtedy serca wiernych chrześcijan raźniej biły i ku Bogu się zwracały.

„Boże mój, ku Tobie się zwracam o świcie.
Pragnęła dusza moja i tęskniła za Tobą“.
O świcie zwracają się ku Tobie oczy moje,
by rozważać dobrodziejstwa Twoje“.

Zanim się zorza ukazała na niebie, zanim błysły na górach pierwsze promienie słońca, zaroiły się ulice starego Rzymu, prowadzące za mury do katakumb. Liczne rzesze przechodniów w milczeniu z latarkami w ręku szły śpiesznie drożynami wśród cyprysów i grobowców pogańskich, aby w podziemnych miejscach śpiewać psalmy i słuchać czytania Pisma św.

Pierwsze gminy chrześcijańskie śpiewały Jutrznię-Matutinum. W swem życiu były zorzą, oczekiwały lepszych czasów, wymodliły sobie i przyszłym pokoleniom dzień jasny, spokojny czyli wolność dla Kościoła. W psalmach szukały ukojenia, tam znajdywały głęboką wiarę w Opatrzność i rządy Boże nad światem. Słuchały czytań Pisma św., a potem nucąc sobie po cichu rozmyślały nad przeczytanemi słowami. Z tych rozważań powstały późniejsze Responsorja czyli „odpowiedzi śpiewane“ jedna z najpiękniejszych rzeczy w Jutrzni, gdzie prośby obok rozważań snują się ubrane w przecudne melodje. Taką „odpowiedzią śpiewaną“ jest np. Libera me, Domine“, przy pogrzebie.

Zanim słońce zajaśniało, jaśniała już gorliwość i pobożność.

Jutrznia zamyka w sobie dwa Testamenty Pisma św. życiorysy Świętych i dzieła Ojców Kościoła.

X. M. K.



Prześladowanie w Meksyku przypomina nabożeństwa w katakumbach.

Brat Albert.

Co się tyczy konstytucji, czyli ustaw dla swych Zgromadzeń, to po części spisał je Brat Albert, lecz to jest najważniejsze, że zasadami i naukami, zaczerpniętemi wprost z I., II. i III. Reguły św. Franciszka Serafickiego i swemi własnemi przepisami, przykładem własnym i duchem, oraz naukami tak przepoił członków swych Zgromadzeń, iż weszły im, jak krew w życie i w codzienną praktykę. Nie chciał zaś Sługa Boży, by jego żywe dzieło, to jest Zgromadzenie, wtłaczano, przykrawano bezdusznie i psuto, według jakiegoś szablonu, czy formułek i przepisów ludzkich, bo one głównie mają wyrastać i rozwijać się z ducha ich Założyciela i wtedy mają żywotność i błogosławieństwo Boże. Dlatego też Brat Albert, ćwicząc członków swych Zgromadzeń w coraz większej karności i ścisłości zakonnej, mawiał do nich: „Póki żyję, ma być coraz lepiej w naszych Zgromadzeniach, bo to fundacja. Tak jest, co się teraz zrobi i zostawi, to fundacja na przyszłość! Teraz moje pisma niszczycie i nie dbacie o nie, przyjdzie czas, że po mojej śmierci będziecie skrzętnie zbierać i skrawki papieru i każdą literę, którą napisałem“.

Choćby wszystko zginęło po Bracie Albercie, co napisał, to przecież zostało to, co największe: duch w członkach jego Zgromadzeń i przeszło ćwierćwiekowa praktyka tego, co nauczył i wdrożył w swe duchowne dzieci i dlatego też Sługa Boży był o swe Zgromadzenia i dzieła spokojny i mawiał: „Sam Bóg wszystkiemu zaradzi“. Jestem o wszystko spokojny i bezpieczny, bo Serce Jezusa swoimi dziećmi się opiekuje“.

Co się tyczy zarządu obydwóch Zgromadzeń, to Brat Albert kierował Braćmi bezpośrednio aż do końca swego życia, czasami tylko wyręczał się w niektórych sprawach przez którego z Braci, zwykle przez Brata Piotra Dobrogowskiego, którego darzył wielką miłością i szczególnem zaufaniem. Czcigodny Założyciel, będąc równocześnie generalnym przełożonym Braci, nazywał się pokornie: „Bratem Starszym“ Zgromadzenia. Siostrami Albertynkami zajmował się Brat Albert z początku bezpośrednio, w miarę zaś, jak zaczęły powstawać nowe przytuliska i domy Sióstr, wyznaczał czasowo niektóre Siostry i oddawał im w opiekę tych kilka domów Zgromadzenia, któremi też z polecenia ich Założyciela jakoby „Siostry Starsze“ Zgromadzenia kierowały i załatwiały sprawy Sióstr i domów. Były niemi w pierwszych latach Siostry: Franciszka Lubańska, Feliksa Maksymiukówna i Teresa Orłoś.

Dopiero w kwietniu 1902 roku zamianował Brat Albert, w uroczystej formie i na stałe, Starszą Zgromadzenia, Marję Jabłońską, która pod imieniem Siostry Starszej Bernardyny objęła bezpośredni zarząd nad wszystkiemi domami, Siostrami i dziełami Sióstr Albertynek, do niej też należało mianowanie przełożonych po domach Sióstr. Jej światłemu i sprężystemu kierownictwu,

Gdzie sól smakołykiem.

(Opowiadanie misyjne).

Spostrzegłem, iż czarne dzieci są niezmiernie łase na sól: zupełnie, jak europejskie na cukierki. Czy nie mógłbym je więc przynęcić zapomocą soli? Mój przełożony, z którym podzieliłem się tem spostrzeżeniem, zwrócił mi uwagę, iż jest to produkt nieco zbyt drogi, kilo soli bowiem kosztowało podówczas około półtora franka, a prawie dwa w Sanga, gdzie znajduję się obecnie — upoważnił mię jednak do wzięcia torebki z solą na każdą wycieczkę misyjną.

Łyżeczka do kawy pełna tego przysmaku nowego gatunku, dana synkowi naczelnika czarnej bandy, wywołała niebawem zbiegowisko wszystkich chłopiąt z całej wioski, w której odbywałem tę pierwszą próbę.

— Jak się nazywasz, maleńki? — Okanja. — Ach, tak! syn Niangi? — Nie, syn Ibowi. — I zapisałem na małym karneciku: Okanja, około lat dwunastu, syn Ibowi (wioska Abogo). — A ty, czy także chcesz soli? — Za całą odpowiedź daje się słyszeć mruknięcie pełne zadowolenia. — Ale nie wiesz nawet, jak się nazywasz? — Owszem, nazywam się Kamba. — A twój ojciec? — Nianga. — Masz, mój maleńki. I zapisałem: Kamba, około lat dziesięciu, syn Niangi. — I tak dalej i dalej w każdej wiosce rozpoczynałem to samo nudziarstwo, lecz zawsze z jednakiem powodzeniem: nudziarstwo ulubione, gdyż przewidywałem spełnienie przezeń w krótkim czasie pewnego projektu, do którego dążyłem w największej tajemnicy.

*

Skoro więc pozyskałem sympatję naczelników i przyjaźń chłopiąt wszystkich wiosek okolicznych — było ich ze dwanaście — skoro pozapisywałem w moim notesie imiona wszystkich malców wolnych od 8 do 12 lat, wówczas dnia pewnego, kiedy jeden z naczelników prosił mnie o tytoń, udałem, że się gniewam.

— Prosić, to zawsze umiecie! Ale sami coś dać, to nigdy nie dacie. — A cóż ty chcesz, byśmy ci dali lupelo, my nic nie mamy.

— Już skończone wszystko! Nawet nie przyjdę więcej do waszych wiosek. Znacie mnie dobrze teraz. Czy zabiłem kogo kiedy? — Nie. — Czy ukradłem wam co kiedykolwiek? — Nie. — Gdyście mi odmówili oddania waszych synów, czy zabrałem ich siłą? — Nie. Zresztą, ja nie mam syna. — Hę? Ty, Ibowi, ty nie masz syna? I otwierając uroczyście mój notesik: Ty, Ibowi, ty masz trzech chłopaków: Okanja, Odona, Itoura. Tamten naczelnik ma ich tyle to, oto są ich imiona... tamten znowu tyle...

A moi poczciwi czarni pootwierali usta ze zdu-

w duchu Brata Alberta, któremu zawsze z dziecięcą prostotą ulegała, zawdzięczają Siostry, że ścisłość zakonna, jednostajność w domach i organizacja dzieł weszła w życie i zakwitła w ich Zgromadzeniu i mocno się utrwaliła.

Pod koniec swego życia zamianował Brat Albert 1916 r. Siostrę Magdalenę wikarją Zgromadzenia, jako zastępczynią Starszej Zgromadzenia, Siostrę zaś Helenę przeznaczył na mistrzynię nowicjatu, który to urząd poprzednio sprawowały wybrane na ten cel przełożone domowe.

Obydwa Zgromadzenia szły z ufnością przez 25 lat, jak za świetlaną kolumną, za przykładem i wskazówkami swego Czcigodnego Założyciela. Taka zaś długoletnia suma pracy i poświęcenia Brata Alberta nad duchowem urabianiem Braci i Sióstr musiała, przy pomocy łaski Bożej, przynieść wielkie owoce cnót i udoskonalenia, o czem świadczą budujące żywoty zmarłych członków jego Zgromadzenia, co do niektórych z nich, śmiało rzecby można, że zeszli z tego świata w opinji świątobliwości.

Dla ścisłości dodać tutaj wypada, że na to jasne i pogodne środowisko padały czasami tu i ówdzie cienie, gdy np. ze strony osób nie należących do Zgromadzenia wpływano na Braci, czy na Siostry, by opuścili Zgromadzenie, które niby nie miało widoków przyszłości i że po śmierci Brata Alberta miało się rozlecieć — co oczywiście na osoby słabszego ducha ujemnie działało. Niektórych znowu członków Zgromadzenia uwodziła pokusa, żeby wystąpić ze Zgromadzenia, by potem działać na szerszą skalę, a nawet być założycielem nowych Zgromadzeń z innym celem i w innym duchu dzieła nowe prowadzić. Zdarzyło się i to, że obok zakonnych członków z heroicznem poświęceniem znalazła się jaka nieodpowiednia jednostka wichrzycielska, która wniosła czasowo zamieszanie do cichego życia zakonnego.

Te, czy inne wichrzenia, burze i chmury na jasnem niebie przeminęły. Brat Albert takich niespokojnych członków Zgromadzenia i nie mających ducha zakonnego chętnie się pozbywał; wolał mieć mniej członków w Zgromadzeniach, ale zato ludzi doborowych i prawdziwe osoby zakonne, pełne zaparcia siebie i poświęcenia dla Boga i bliźnich, szukających naprawdę Boga samego, a nie siebie samych.

W usuwaniu złego, jakie się kiedy mogło zakraść w Zgromadzeniu, przyczyniała się niemało Starsza Siostra Bernardyna, o której Brat Albert mawiał: „że choć szczera i dobra, jak dziecko, ale i mądra i roztropna i wszystko mocno i po Bożemu w swem ręku trzyma“.

Można śmiało twierdzić, że duch Brata Alberta przeniknął i zakorzenił się w obydwóch Zgromadzeniach jeszcze przed śmiercią ich Założyciela, rady zaś ewangeliczne i cnoty, stanowiące ducha Zgromadzeń, głęboko były zaszczepione. Tak

---

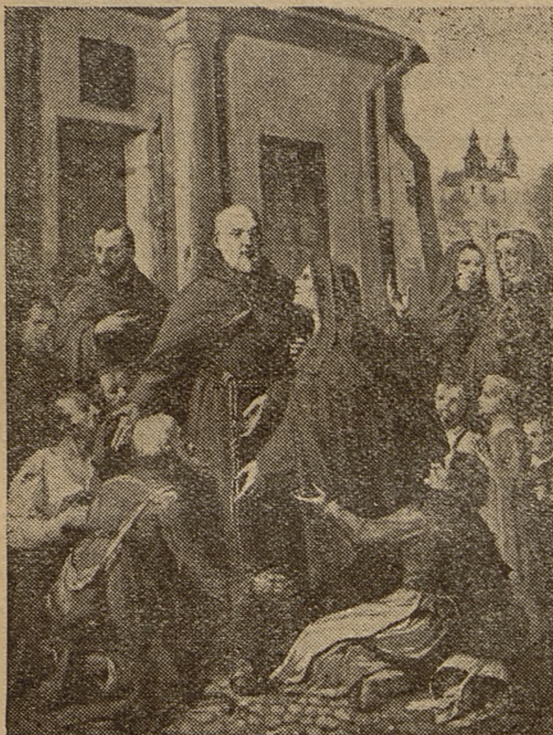
mienia, usta olbrzymie, które oni trzepią dłonią, wydając tym sposobem głuchy dźwięk: — „Lupelo zna imiona wszystkich naszych dzieci! — Tu Ibowi, jak nowa Samarytanka, począł zwoływać swych towarzyszów: „Chodźcie, chodźcie wszyscy usłyszeć coś niesłychanego...“ — Kilka już razy mówiłem wam, że Uzambi (Bóg) wie wszystko, wszystko, wszystko... — Tak, to prawda? — No więc ja jestem Jego uganga (czarodziej-kapłan-, wiem zatem wszystko tak, jak On. — To prawda! — Pomiędzy Zbawicielem a nędznym Jego „wysłańcem“ ta tylko niewielka zachodziła różnica, iż On nie potrzebował notesu, aby wiedzieć, iż Samarytanka pięciu mężów miała, a że ten obecny nie był jej mężem... gdy tymczasem ja!... — Krótko mówiąc, pamiętajcie, że dopóki nie przyszlecie mi waszych chłopaków do stacji misyjnej, nie powrócę do was więcej i nie będziecie mieć ani tytoniu, ani mięsa, ani soli, ani wina palmowego. Skończyłem! — I obróciwszy się na pięcie, odszedłem od nich. — Lupelo! Lupelo! — Nic z tego! Tylko na „stacji misyjnej“ — Mój przełożony generalny, Mgr. Le Roy, powiedział był, iż „na to, by dotrzeć do duszy czarnego, trzeba przejść przez jego żołądek“. Osądźcie sami prawdziwość tego twierdzenia.

*

Spełniając moją groźbę, nie wychodziłem do nich wcale przez czas jakiś. To, co leżało w mocy ludzkiej, było już zrobione. Pozostawała tylko cierpliwość — nie zawsze łatwa dla europejskich nerwów, podrażnionych w dodatku wyczerpującym klimatem — no i modlitwa, która gwałt niebu zadaje. Otóż pewnego pięknego poranku, co za zdumienie, co za radość, co za szczęście! Wszyscy wodzowie okoliczni z Ibowi na czele z całym orszakiem dzieci drepczących za nimi, ich własnych dzieci dobrze mi znanych, ukazali się na ścieżce wiodącej do stacji misyjnej. Naturalnie zaszła potrzeba złożenia im nowych podarunków, a wodzowie, powracając do siebie, powtarzali mi, że jeśli będę dobry dla nich, oni potrafią się odwzajemnić i chcą mnie znowu u siebie zobaczyć. Deo gratias! Rok cały napozór nieużytecznego chodzenia był teraz wynagrodzony! — I praca bezpośrednia nad głoszeniem Ewangelji św. tym dziatkom została wnet rozpoczęta najpierw powolna, potem silniejsza, wreszcie intenzywna. Przed końcem roku wszyscy umieli katechizm na pamięć we własnym języku, niektórzy nauczyli się czytać, pisać i rachować. Byli to przyszli katechiści, pomocnicy niezbędni w głoszeniu Ewangelji krainom czarnych — więc nareszcie marzenie lat dawnych urzeczywistnionem zostało! Ryba w wodzie, ptak w powietrzu nie mogą być szczęśliwsze odemnie!... Otrzymywałem już po trochu tę stokrotną nagrodę, przyrzeczoną przez Zbawiciela...

——o——

Bracia, jak i Siostry poświęcali się, według wskazówek swego Założyciela, nad ubogimi i dziećmi w przytuliskach i nierzadko padali na tym posterunku miłości bliźniego, jako ofiary zarazy, lub przedwczesnego wyczerpania i to główne



Brat Albert między ubogimi. malował Szczurowski

i ukochane dzieło swego Ojca, najwięcej sobie cenili i kochali.

Szczególniej atoli rozwijało się, jeszcze za życia Brata Alberta. Zgromadzenie Sióstr Albertynek, tak co do liczby powołań, jak i dzieł i nowych domów. Zorganizowało się i ustaliło w duchu Brata Alberta, nabrało mocy i tężyzny duchowej i jednostajności w życiu wspólnem, a co do posłuchu i karności było jak wojsko uszykowane. Ożywiała też Siostry wielka miłość i jedność wzajemna i zgodność w pożyciu. Cele Zgromadzenia były dobitnie w praktyce zaznaczone, wszystkie zaś dzieła były już w życie wprowadzone, albo wyraźnie i stanowczo wytyczone.

Nakoniec trzeba i to podkreślić co do Zgromadzeń Brata Alberta, że mianowicie zdawaćby się mogło, iż Bracia i Siostry, w tak twardej szkole cnoty, pokuty i karności zakonnej ćwiczeni i pracami zbyt przeciążeni, muszą chyba smutne życie prowadzić w Zgromadzeniach swoich, doznawać przygnębienia, czy znużenia! Całkiem przeciwnie! Nie było może weselszych ludzi nad duchowne dzieci Brata Alberta! Wystarczyło tylko przyjść do nich podczas rekreacji, a wtedy — i dzisiaj, przynajmniej u Sióstr — było się naocznym świadkiem takiego szczerego wesela i błogiej rozlewnej radości, że trudno znaleźć gdzieindziej coś podobnego. Nic w tem dziwnego! boć to radość dzieci Bożych, pałających miłością Bożą, a której owocem jest owo nadprzyrodzone i głębokie wesele ducha i niezamącony pokój Boży, jakiego świat dać nie może. O tak! nawet co do radości podobni są do św. Franciszka Serafickiego!

W Raju Sowieckim.

System komunistyczny w kraju Sowietów bankrutuje na całej linji. Lenin chwalił się, że stworzył państwo czysto ekonomiczne, według teorji Marxa, wolne od wszelkiej polityki i kierowane przez robotników i przez Rady nadzorcze; tymczasem niema drugiego państwa na świecie, gdzieby organizacja polityczna była tak rozwiniętą, jak w Rosji sowieckiej, gdyż opanowała ona zupełnie cały aparat ekonomiczny.

Socjalizacja ziemi i podział gruntów miały sprowadzić równość i zapobiec nędzy po wsiach. I w pierwszej chwili chłopi bezrolni zawładnęli nietylko gruntami wielkich własności, ale i bogatszych włościan. A jednak sama choćby konieczność posiadania osobnych narzędzi do każdego kawałka ziemi, tudzież naturalny przyrost ludności, powoduje głód i nędzę, tak iż obecnie taka sama jest liczba ludzi bezrolnych, jaka była przed rewolucją, a z drugiej strony zaczyna się znowu tworzyć większa własność ziemska. Rząd już się temu wcale nie sprzeciwia, owszem zabrania już wszelkich działów, ponieważ widzi, że tylko zamożniejsi włościanie mogą w należyty sposób wyzyskać ziemię.

Ale i z tymi większymi właścicielami mają Sowiety trudności, odmawiają oni bowiem rządowi sprzedaży zboża za bezcen, dopóki rząd będzie im drogo sprzedawał produkty zmonopolizowane, czyli unarodowionego przemysłu. Wskutek tego rząd, który zatrzymał w swoich rękach cały handel zewnętrzny i wielkie nadzieje pokładał na wywozie zboża, przechodzi teraz krzyzys pieniężny i zmuszony był już użyć część swojego zapasu złota.

Dalej handel przywozowy wzmaga się coraz więcej, bo unarodowiony przemysł nie jest zdolny do zadośćuczynienia potrzebom kraju. Jest do tego wiele przyczyn, ale najważniejsze z nich są dwie: Przedewszystkiem mała wydajność pracy. Od maja do grudnia 1925 liczba robotników pomnożyła się o 25%, wynagrodzenie ich podniosło się o 45%, podczas gdy produkcja zwiększyła się tylko o 16%. Powtóre: brak specjalistów i robotników wykwalifikowanych, szkoły zaś przemysłowe nie mogą temu zaradzić, bo ich program nie liczy się wcale z potrzebami przemysłu. Coraz więcej przeto musi się sprowadzać z zagranicy, a tu pieniędzy niema. Wkłady w bankach stanowią zaledwie 11% wkładów przedwojennych z r. 1913, bo posiadacze pieniędzy nie mają do nich zaufania, zresztą, prawdę mówiąc, niema co wkładać.

Handel wywozowy wychodzi państwu na stratę, ponieważ pieniądze grzęzną po drodze w kieszeniach funkcjonarjuszy państwowych. Jednem słowem, błę-

dne koło. Toczą się teraz rokowania z niemieckimi fabrykantami o kredyt w towarach na 300 miljonów marek. Ale kto na tę sumę poręczy? zwłaszcza, że położenie w Rosji zawsze bardzo niepewne. Chyba rząd niemiecki. Wogóle zdaje się, że bliskim jest czas, kiedy państwo komunistyczne będzie musiało krok za krokiem odstępować od swoich teoryj, na rzecz nieubłaganej konieczności. Jednem z takich ustępstw jest przywrócone niedawno prawo dziedziczenia majątków, a coraz większe koncesje, czynione zagranicznym przedsiębiorcom, zwłaszcza Niemcom, Anglikom, Amerykanom, którzy biorą się do dzieła z wielkimi kapitałami, każą się też spodziewać ze strony rządu sowieckiego coraz większych ustępstw na rzecz kapitalizmu.

———ooo———

Męczennicy za wiarę.

Dziennik rzymski „Osservatore Romano“ z 6-go czerwca, podaje opis beatyfikacji dwóch męczenników Towarzystwa Jezusowego: O. Jakóba Sales i brata Wilhelma Saltamouche. O. Sales urodził się 1556 r. w Owernji. Mając lat 17 wstąpił do nowicjatu OO. Jezuitów w Verdun. Po ukończeniu studjów filozoficznych, które wykazały w nim wielkie zdolności, został mianowany profesorem filozji, a gdy w 1585 r. uzyskał święcenia kapłańskie, począł też wykładać i teologję. Główną cechą jego pobożności była miłość do Najśw. Sakramentu oraz pragnienie męczeństwa, nieraz przeto prosił swoich przełożonych, aby go wysłali na misje do Indji. Nie tam jednak miały się spełnić jego życzenia. W r. 1592 burmistrz miasta Obena (Aubenas) prosił OO. Jezuitów, aby mu przysłali na adwent jakiego zdolnego kaznodzieję, gotowego stanąć do walki z predykantami kalwińskimi, szerzącymi tam swoją błędną naukę. Wiadomo, że ci heretycy nie uznają obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Wybór przełożonych padł na 36-letniego O. Sales, któremu dodano brata Wilhelma, jako towarzysza podróży. Ten ostatni miał lat 39, nie posiadał żadnych nauk, ale odznaczał się zamiłowaniem do modlitwy, cierpliwością, prostotą i doskonałem posłuszeństwem. I on też miał wielkie nabożeństwo do Przen. Sakramentu. Kazania adwentowe O. Sales były tak skuteczne, że głowa miasta prosił go o pozostanie aż do Świąt Wielkanocnych. Tymczasem dnia 6 lutego miasto Obena dostało się w ręce hugenotów, którzy je spustoszyli. Burmistrz zbiegł ze strachu, zaś obaj zakonnicy, wśród publicznego urągowiska, zostali zaprowadzeni do więzienia. Wkrótce stawiono ich wobec pastorów kalwińskich dla dysputy, w której O. Sales został zwycięscą. — Nazajutrz zwyciężony kalwin wstąpił na ambonę i począł przemawiać przeciwko prawdziwej wierze, w końcu zaś tak się zapalił nienawiścią, że wprost z kościoła udał się do komendanta wojsk kalwińskich, żądając śmierci dla Jezuitów. Gdy trzej żołnierze, wyznaczeni jeden po drugim do wykonania wyroku, odmówili posłuszeństwa swoim władzom, komendant udał się do uwięzionych. „Pójdź za mną, bałwochwalco, faryzeuszu, rzekł, chwytając O. Sales za rękę; — musisz umierać na otwartem polu“. — „Bardzo chętnie, odpowiedział kapłan. Jestem gotów oddać życie za wiarę w Boga, utajonego w Eucharystji, ale nie macie żadnej racji mordować mojego brata, ponieważ on, jako nieuczony, nie może wam w niczem przeszkadzać“. Ale brat Wilhelm zaprotestował i nie chciał zostać w więzieniu, pomimo że był wstrzymywany od żołnierzy. „Nie opuszczę tego Ojca — wołał; — przełożeni kazali mi być jego towarzyszem. Chętnie położę głowę za prawdy wiary św., które on bronił“. „No, kiedy chcesz umierać — to umieraj“! zawołał żołnierz i pozwolił mu iść za Ojcem. Na rynku kaznodzieja był jeszcze raz wezwany do zaprzeczenia wszystkiego, co nauczał i pisał o obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, a gdy nie chciał tego uczynić, predykator kalwiński zaczął coraz gwałtowniej domagać się jego śmierci. Gdy kat przystąpił do skazańca, ten prosił go o użyczenie mu chwilki czasu na modlitwę ze swoim bratem. Obaj zakonnicy uklękli, a O. Sales począł wzywać świętych imion Pana Jezusa, Matki Bożej, oraz ŚŚ. Jakóba i Stefana. W tej chwili żołnierz wycelował i strzelił, a potem utopił nóż w jego piersi. Jakby na dane hasło, zbiegła się wtedy cała gromada ludzi, a jeden mieszczanin podciął konającemu gardło. Widząc to, braciszek rzucił się na Ojca, objął go za szyję i począł wołać, że się z nim nigdy nie rozłączy, i w tej pozycji został zakłuty szablami. Ostatniem jego słowem było wezwanie Najśw. Imienia Jezus.

O kongres eucharystyczny w Chinach.

Wieczorem po procesji, którą się zakończył Kongres w Chicago, odbyło się zebranie Komitetu nieustającego kongresów eucharystycznych, na którem, zgodnie z życzeniem Ojca świętego postanowiono, że następny Kongres w r. 1928 odbędzie się w Sydney w Australji. Tymczasem z pośród zebranych wystąpił przedstawiciel Chin p. Lo-Pa-Hong, z propozycją, a raczej bardzo usilną prośbą, aby jeden z dalszych Kongresów mógł się odbyć w jego ojczyźnie. Miastem wyznaczonem ku temu celowi mógłby służyć Szanghaj albo Pekin. P. Lo-Pa-Hong jest jednym z wielkich przemysłowców Szanghaju, a jednocześnie prawdziwym apostołem, który, nie poprzestając na podtrzymywaniu zakładów dobroczynnych, szkół, klasztorów, zbiera dokoła siebie ludzi dobrej woli i osobiście oddaje się wraz z nimi uczynkom miłosierdzia i apostolstwa. Upewniał on, że Kongres eucharystyczny w Chinach miałby zapewnione powodzenie i zebrałby w pochodzie procesjonalnym setki tysięcy jego współrodaków.

Propozycja p. Lo-Pa-Hong, przedstawiona zresztą z wielkim zapałem i wdziękiem, porwała i wzruszyła serca obecnych. Kto wie przeto, czy nie dożyjemy za kilka lat międzynarodowego Kongresu eucharystycznego w Chinach.

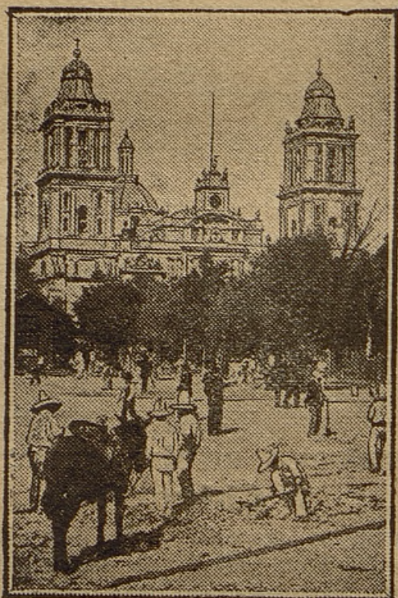
„Dzisiaj świat najbardziej potrzebuje kazania na temat: zostańcie w domu“. Jean Paul.



Ojciec św. i prześladowanie w Meksyku.

Na audjencji danej uczniom kolegjum „Pio latino-americanos“ Ojciec Święty wyraził nadzieję w pomoc Bożą dla nieszczęśliwego narodu meksykańskiego, przyczem tak się wyraził o prześladowcach:

„Jest to rzecz nietylko niegodna, ale djabelska tak prześladować uczucia narodu w tem, co on posiada najdroższego i najbardziej osobistego. Jest to



Katedra w Meksyku.

okrutne szyderstwo słyszeć jeszcze w podobnych okolicznościach powoływanie się na swobodę sumienia i na powagę praw. Sprawiedliwość nie jest wynikiem praw, ale przeciwnie prawa powinny być budowane na sprawiedliwości. I słowa te nie pochodzą od św. Piotra, św. Pawła, ani od żadnego doktora chrześcijańskiego, tylko wyszły z ust poganina Cycerona, przez którego przemawiał rozum naturalny“.

W zakończeniu przypomniał Ojciec Święty zjawisko, bardzo często powtarzające się w historji Kościoła, że gdy potrzeba największa — pomoc Boża najbliższa.

Szczególne uzdrowienie.

W miejscowości Pierry we Francji zdarzył się dnia 6 czerwca r. b. niezwykły wypadek uzdrowienia.

Państwo Dupont-Krémer, oboje w wieku lat 49, mają w Pierry ładną posiadłość z parkiem, w którym urządzili grotę Matki Boskiej z Lourdes. Pan Dupont, sparaliżowany od czasu wojny, nie rusza się ze swego fotelu. Pani Dupont uległa podobnemu losowi półtora roku temu, wskutek nadzwyczajnych wysiłków fizycznych, kiedy z zupełnem zapomnieniem o sobie pielęgnowała naprzód chorego męża, a potem na łożu śmierci swego teścia i matkę. W grudniu r. 1924 na organizm jej kompletnie wyczerpany zwaliły się różne choroby, które jej nie dawały odtąd stanąć o własnej sile.

Obeje małżonkowie, prawdziwi chrześcijanie, odznaczali się nabożeństwem do Matki Boskiej i od lat piętnastu urządzali w Jej grocie ołtarz, przy którym zatrzymywała się procesja Bożego Ciała. W tym roku, podczas takiej uroczystości, w której pp. D. brali udział tylko z okna, przysunięci tamże przez służbę na fotelach, — w chwili błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, po odśpiewaniu ostatniej Ewangelji, pani D. nagle powstała i zaczęła chodzić bez żadnej pomocy ludzkiej. Pierwsze jej kroki skierowane były do groty, a następne do kościoła i na procesję, z którą razem wzięła udział w zakończeniu nabożeństwa.

Jest to zdarzenie w rodzaju tych, jakie się powtarzają w samem Lourdes podczas procesji Najśw. Sakramentu. Świadectwo lekarskie, dotyczące tego faktu, podpisał własnoręcznie doktór Stutel dnia 25 czerwca r. b.

Katolicki sułtan.

Miejscowość Dar-es-Salam w Kwiro (Afryka) posiada od niedawnego czasu katolickiego sułtana. Jest nim Joachim, wychowanek misji kapucyńskiej. Nowy sułtan, pomimo swego urzędu, nie przestał śpiewać i grać na fisharmonji w czasie nabożeństwa.

Kapucyni w Dar-es-Salam rozwijają bardzo piękną działalność. Wśród półmiljonowej ludności mają oni 11.450 katolików i 1.400 katechumenów, 200 szkół, 200 katechistów i 5.800 uczniów. W r. 1925 wydano 92.000 komunij św.

Ze sceny do klasztoru.

W Stanach Zjedn. publiczność zaniepokojona była losem bardzo znanej artystyki nowojorskiej, miss Gracji Reven, która znikła pewnego wieczora bez śladu. Wielbiciele jej przypuszczali coraz to nowe przygody romantyczne, a wreszcie nawet samobójstwo. Tymczasem przypadek zrządził, że jeden z dawnych kolegów miss Reven odnalazł ją niespodzianie w Ohio, w klasztorze Dobrego Pasterza, jako siostrę Urszulę, pielęgnującą z wielkim zapałem chorych murzynów.

Piękny temat do rozmyślania: powołanie zakonne, rozbudzone na deskach teatru i to w okresie największego powodzenia scenicznego!

Sport u świętych.

Przy rozdawaniu nagród w Kolegjum sportowem w Preston, arcybiskup Bombaju Mgr. Goodier T. J. przypomniał obecnym, że św. Franciszek Ksawery był najlepszym szybkobiegiem swojego czasu na uniwersytecie paryskim, św. Ignacy okazywał nadzwyczajną zręczność w fechtowaniu się, a św. Ludwik był świetnym zapaśnikiem na rycerskich turniejach.



Wywczasy wakacyjne prez. Coolidge w Plymonth.

Cuda i dziwy Boże...

Na przekór wszystkim niesnaskom politycznym, całe katolickie Niemcy, a zwłaszcza prowincje nadreńskie, badeńskie i bawarskie, szerzą u siebie z wielkim zapałem kult ś. Teresy od Dzieciątka Jezus. I widocznem jest, że Święta znajduje szczególne upodobanie w tej czci jaką odbiera od wrogów swego narodu, gdyż daje ona wyraźnie poznać światu, że prawdziwi katolicy stanowią zawsze jedną rodzinę Bożą, jako dzieci jednego Ojca niebieskiego i że Francja oficjalna nie jest bynajmniej tem samem, co Francja katolicka, owszem, że ta ostatnia, w przeciwieństwiem do tamtej, pogańskiej, jest — według wyrażenia Piusa XI — ziemią Świętych.

Dowodem tego upodobania św. Teresy jest cały szereg łask, wyświadczonych w ostatnich czasach pobożnej Niemce, Teresie Neuman, córce krawca w Kennersreuth, w Bawarji.

Od lat dziesięciu bardzo nabożna do swojej niebieskiej Imienniczki. Teresa Neuman, na wiosnę r. 1918 została sparaliżowana przy dźwiganiu wody w czasie pożaru. Potem na jesieni przechodziła ciężką hiszpankę, której skutki odbiły się również na jej zdrowiu, a wreszcie na początku r. 1919 została nawiedzona ślepotą. Więcej może jednak niż nabożeństwem, zwróciła na siebie oko Małej Karmelitanki sposobem znoszenia swoich krzyżów; młode dziewczę bowiem, choć zaledwie 20 letnie, nie wzdragało się wcale przed cierpieniem i było najzupełniej zjednoczone z wolą Bożą, starając się naśladować w chorobie swoją patronkę.

Ś. Teresa nawiedziła kilkakrotnie biedną chorą, zjawiając się przed nią w blasku światłości, rozmawiała z nią o rzeczach niebieskich, dawała jej nauki o wartości cierpienia i przygotowywała na nowe krzyże. Między innemi wyrzekła do niej te słowa: „Więcej można zbawić dusz cierpieniem, aniżeli najświetniejszem kazaniem“. Aby jednak okazać rzeczywistość swej opieki, wracała jej kilka razy cudownie zdrowie. I tak w dzień swej beatyfikacji uwolniła ją od ślepoty; w uroczystość kanonizacyjną od paraliżu; w rocznicę swojej śmierci tegoż roku — przywróciła jej do reszty władzę w członkach, a kilka tygodni później wyratowała ją z ciężkiej choroby, przy której miała być konieczną operacja.

Natomiast w poście r. b. zaczęły się innego rodzaju cudowne zjawiska. Łzy Teresy Neuman zamieniły się w krew i ona sama poczęła ulegać strasznym cierpieniom w zjednoczeniu z Męką Pańską, wreszcie w sam Wielki Piątek otrzymała stygmaty na boku, rękach i nogach. Zjawisko to zasłynęło w całej okolicy bliższej i dalszej, ściągając mnóstwo pobożnych i ciekawych. Bywają dni, że po kilka tysięcy osób nawiedza skromne mieszkanie krawca, aby widzieć protegowaną Ś. Teresy. Proboszcz miejscowy, ks. Naber, który jest zarazem spowiednikiem stygmatyzowanej, sam podał do wiadomości publicznej te zdarzenia, których był naocznym świadkiem.

Papieska szkoła makat.

Istniejąca od r. 1620 papieska szkoła makat w Rzymie wykonała niedawno reprodukcję Madonny Cralo Crivellego, znajdującej się w bibljotece watykańskiej. Dzieło to ofiarowane zostało przez Ojca świętego królowi Albertowi belgijskiemu, w czasie jego wizyty w Watykanie. Obecnie szkoła makat pod dyrekcją prof. Silvio Grossi i mistrza Rafaelo Burratini, ukończyła po dwóch latach pracy piękną Madonnę Pinturricia.

Grób św. Jacka.

W jedno z największych świąt Matki Bożej, w uroczystość Jej Wniebowzięcia, dwaj żarliwi Słudzy Marji, obaj Polacy, Patronowie Ojczyzny naszej zakończyli swój pobyt na ziemi. 1568 r. kończy swe młode życie doczesne w Rzymie w nowicjacie Tow. Jezusowego Stanisław Kostka; a 314 lat przedtem umiera w klasztorze św. Trójcy w Krakowie Jacek Odrowąż, pierwszy Jego Przeor, niegdyś kanonik katedry krakowskiej.

Nie miejsce tu opisywać Jego długi, pełen prac apostolskich żywot; odsyłając ciekawych do dwóch życiorysów św. Jacka, z których jeden napisał O. Konstanty Żukiewicz, a drugi O. Sadek Werberger z okazji obchodu 300-rocznicy kanonizacji św. Jacka. Obecnie przypominamy Czytelnikom, że św. Jacek urodził się w Kamieniu na Śląsku, w dobrach swego rodu, że będąc w Rzymie ze swym stryjem biskupem krakowskim Iwonem, na widok wskrzeszenia umarłego przez św. Dominika, wstąpił do jego zakonu jako kanonik krakowski wraz z rodzonym bratem Czesławem, kanonikiem sandomierskim; że z powrotem do Polski został przeorem pierwszego u nas klasztoru dominikańskiego, który ufundował wspomniany biskup Iwo Odrowąż, że pracą apostolską przeorał całą Polskę od Gdańska do Kijowa i daleko bardzo na Wschód wyruszył na połów dusz, dla Chrystusa, że w życiu i po zgonie zasłynął tylu cudami, iż należy do największych cudotwórców w Kościele.

Pamięć jego obchodzi się 17 sierpnia, prowincja jednak nasza zakonu kaznodziejskiego, której św. Jacek jest Patronem święci Jego uroczystość w niedzielę po Wniebowzięciu przez całą oktawę, która w kościele św. Trójcy w Krakowie obchodzi się codziennem przedpołudniowem i wieczornem nabożeństwem. Jedną z ozdób tej pięknej świątyni, a również i starej naszej stolicy, jest wspaniała kaplica zbudowana na piętrze w stylu odrodzenia, podobno na miejscu dawnej celi św. Jacka, do której prowadzą z kościoła schody z białego marmuru. Jest to druga kaplica na tem miejscu: pierwszą wybudowano według planu brata Jana z Wrocławia, Dominikanina, a kiedy ją poświęcił 8 września 1549, Piotr Gamrat, biskup krakowski, przeniesiono tu trumnę św. Jacka, która spoczywała pod kapitularzem, t. j. pod salą na krużgankach, przeznaczoną na obrzędy zakonne, pod którą blisko do połowy zeszłego stulecia chowano zakonników. Obecna kaplica, większa od poprzedniej wystawiona staraniem przeora O. Seweryna z Rusi Czerwonej pod koniec XVI w.

W pośrodku jej wznosi się wspaniały z czarnego marmuru ołtarz, na którym czterech aniołów unosi trumnę św. Jacka z jego figurą u góry. Ściany kaplicy pokrywają obrazy olejne ze zdarzeniami ze życia Świętego, oraz rzeźby artystyczne bogato złocone. Relikwja Głowy Świętego jest w osobnym relikwjarzu, sprawionym (a może i zrobionym) w 1609 r. przez króla Zygmunta III; na ścianach bocznych ma śliczne rzeźbione zdarzenia, odnoszące się do św. Jacka. Wystawiony bywa przez całą oktawę na osobnym ołtarzu w kościele ustawionym relikwjarz w kształcie ręki z cząstki św. Jacka. Kaplica ta ma przywilej, że z wyjątkiem niedziel i świąt większych, mogą być w niej zawsze Msze św. o św. Jacku.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć jedno podanie łączące się ze św. Jackiem. Oto gdy wracał raz z jakiejś podróży do Krakowa, wyszła ludność za miasto naprzciw Męża świętego Czekano Go długo, ale gdy św. Jacek omieszkiwał, zebrani jęli się do

---

JÓZEF ANDOR. 5

NAUCZYCIELKA.

POWIEŚĆ.

Tłumaczenie z madziarskiego.

— Dlaczego prześladujecie tę pannę? Co za korzyść z tego dla Kościoła? Przeniosą ją w inne strony i tam będzie rozsiewała swój kąkol. Byłoby dużo lepiej, gdyby ją ksiądz wikary nawrócił.

Księdzu proboszczowi twarz się zaczerwieniła z radości. Ten prosty wniosek wydawał mu się namacalną prawdą, która obie strony zaspokoićby mogła. Głośno sapiąc, spoglądał na bladą, bezkrwistą twarz księdza wikarego, na której widać było, że podstępne rozumowanie zarządcy zmieszało go.

— Bardzo słusznie — przerwał wreszcie milczenie ksiądz proboszcz. — Dla Kościoła nie będzie w tem żadnej korzyści, jeżeli ją z Abrányfalva przeniosą do Ibrányfalva. Jeśli zaś nawrócimy tę duszę, tysiące innych dusz uratujemy, któreby ona zepsuła. I większą jest chwałą oswoić wilka, niż go wypędzić — dodał radośnie uzupełniając przykład księdza wikarego.

— Jakoś to wszystko prawdziwie wygląda — odpowiedział chwiejnie ksiądz wikary — lecz muszę się namyśleć, a przedewszystkiem muszę się pomodlić, aby Duch Św. oświecił mój rozum. Późna już zresztą godzina.

Nagle otwarły się z hałasem drzwi jadalni.

— Panna nauczycielka przyszła — oznajmiła znacząco gospodyni, a wszystkie zmarszczki jej starej twarzy drgały pod wpływem niespodziewanego wrażenia.

— Lupus in fabula! (o wilku mowa) — wygłosił ksiądz proboszcz to podwójnie na tę chwilę trafne przysłowie. Twarz młodzika rozpaliła się, a ksiądz wikary nerwowym ruchem podniósł się z miejsca.

W ten moment weszła nauczycielka.

IV.

Dziewczyna stała zmieszana. Raził ją blask lampy; niepokoiły trzy pary skierowanych na nią oczu. Wzrostu była niewysokiego, ale przystojna i wydawała się zgrabną, choć zarzucona pospiesznie chustka zasłaniała prawie całą jej postać. Głowę miała odkrytą, a na jej bujnych,

domów dla spóźnionej pory rozchodzić. I stało się, że został jeno sam cech szewski, który wytrwał aż do przybycia świętego, który w nagrodę za tę wytrwałość nadał cechowi szewskiemu przywilej noszenia baldachimu podczas procesji w kościele św. Trójcy w Krakowie. I odtąd po dziś dzień widzieć można, jak przed każdą procesją z Przenajśw. Sakramentem (prócz różańcowych w soboty rano) śpieszy do zakrystji czterech majstrów szewskich po badachim, by go potem nieść nad Panem Jezusem w Przenajśw. Hostji utajonym. M. B.

A czy u nas jest lepiej?

Z dniem 1. października br. we Wiedniu, stolicy Austrji, zaczną się kursa uniwersyteckie dla świeckich katechetów, czyli **ludzie świeccy** będą się kształcić **na katechetów.** W odezwie wydanej z tego powodu czytamy co następuje: „Niedawno wykazały obliczenia, że Wiedeń, ten Wiedeń, któryśmy wszyscy mieli za katolickie miasto, jest największą diasporą w Europie. (Diasporą nazywają się takie okolice i miasta, gdzie katolicy żyją rozproszeni wśród innowierców). Znaczy to, że Wiedeń zażywa tej smutnej sławy, że jest w nim największa liczba katolików z metryki, czyli takich katolików, o których katolicyzmie świadczy tylko to jedno, że ich metryka jest w katolickim Urzędzie parafjalnym. Poza tą metryką katolicy ci nie mają nic a nic wspólnego z katolicyzmem. We Wiedniu w metrykach jest japisanych 1,400.000 ludzi jako katolicy, czyli jeden miljon i czterysta tysięcy. A obowiązki i praktyki katolickie wypełnia wiecie ilu z pośród nich? Zaledwie 150.000, czyli około 10 proc., to znaczy, że na każde 100 mieszkańców mających katolicką metrykę, do spowiedzi św. i na Mszę św. uczęszcza, oraz posty zachowuje, modli się i po Bożemu żyje tylko 10 ludzi, a 90 żyje jako „grzesznicy i celnicy".

Tegoby się przecież nikt nie był spodziewał! Przecież Wiedeń za katolickie uchodził miasto, jak to powiedzieliśmy na początku. Podobno pod tym względem stosunki są lepsze nawet w takim Berlinie. Berlin jest wprawdzie arcyluterskiem, względnie pogańskiem miastem, i nikt nigdy nie miał pretensji do tamtejszych katolików, którzy żyją tam w formalnem morzu lutersko-pogańskiem. A jest ich tam pół miljona (na 3,800.000 mieszkańców). Zato w Berlinie katolicy są lepsi i jest ich tam więcej prawdziwych katolików, a katolików ze samej tylko metryki jest tam znacznie mniej. Bo w Berlinie jak wykazały obliczenia, obowiązki swoje spełnia nie 10 proc., lecz ponad 60 proc., czyli dobre dwie trzecie.

Następnie odezwa ta zadaje sobie pytanie: Czem to idzie, że katolicyzm Wiednia jest taki słaby, skoro **nie brak tam gorliwej pracy katolickiej?**

Między innemi, stwierdza ta odezwa, nauka religji w szkole jest we Wiedniu wzorowo prowadzona, albo przynajmniej pochłania mnóstwo sił i czasu. A jednak praca ta wydaje tak mało owoców, i skutki są tak minimalne, względnie idą na marne. Czyż nie jest to jeden z grzechów przeciwko Duchowi Świętemu? Żeby tak sprzeciwiać się uznanej prawdzie chrześcijańskiej! Ale bo też katolicy wiedeńscy swój pokarm duchowy i strawę umysłową czerpią niemal wyłącznie z prasy żydowskiej. Prasa ta potrafi zniweczyć wszystko, co w sercu i umyśle zasiała — zaszczepiła nauka religji w szkole.

Gdy się to czyta, to aż człowieka język swędzi.

---

falistych, kasztanowatych włosach łamały się migotliwe blaski lampy. Twarz zabarwiona była lekkim rumieńcem, który zdradzał poruszenie wewnętrzne. Delikatne, wysoko rozpięte brwi, cechowały jej niskie czoło pewnego rodzaju stanowczością. Długie, jedwabiste rzęsy zakrywały oczy o głębokim ogniu. Stanowczość jej wyglądu prawie że dziecięcym urokiem łagodziły wargi i bródka. Ogółem nie przedstawiała wprawdzie jakiejś klasycznej piękności, ale wyrafinowany mężczyzna mógł od pierwszego rzutu oka spostrzec wewnętrzną jej wartość.

— Czem mogę służyć, moje dziecko? — zapytał ksiądz proboszcz we właściwy sobie serdeczny a dobrotliwy sposób.

Zarządca zerwał się na nogi i wśród służalczych ukłonów podał jej krzesło.

— Dziękuję, nie usiądę — rzekła nauczycielka, i jakgdyby sobie dopiero teraz przypomniała, po co właściwie przyszła — zbladła. — Moja służąca, ciocia Zofja, zemdlała i prosi o księdza. Mam wrażenie, że nic poważnego jej nie grozi, lecz uparła się przy swojem i musiałam tu przybyć.

— O, ciociu Zofjo, niechże cię Pan Bóg błogosławi! — zawołał proboszcz, kiwając radośnie głową. — Kochane dziecko, nie bój się o nią; to zapewne zwykła jej słabość. Jakieś kurcze jej dokuczają, a ponieważ w tych latach należy już myśleć o śmierci, więc w ataku przyjmuje zawsze Ostatnie Namaszczenie. Będzie to już po raz piąty w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Lecz wszystko jedno; nikt nie wie, kiedy ma wybić jego ostatnia godzina, więc ksiądz wikary zaraz ją odwiedzi. Proszę iść do domu i wszystko przygotować na przyjęcie Najświętszego Sakramentu.

Dziewczyna stała zmieszana.

— Ja, ja nie wiem, czego potrzeba.

— Nic nadzwyczajnego, moje dziecko. Krzyż, dwie świece i mały stolik, białym obrusem nakryty.

Nauczycielka zbladła jeszcze bardziej.

— Nie mam u siebie krzyża — wyjąkała.

Oczy księdza wikarego zaiskrzyły się płomiennym gniewem, natomiast ksiądz proboszcz nie stracił równowagi.

— To niedobrze! Widać, że pani jeszcze młoda, krzyż życia jeszcze nie przychylił ramion, a jednak ci tylko pod nim się nie łamią, co się

żeby powiedzieć: to samiuteńko dzieje się u nas w Polsce, a nie na ostatku w Krakowie, tym „katolickim“ Krakowie. Także i tutaj tym grzybem i tą pleśnią, co niszczy najpiękniejsze i najbardziej obiecujące zasiewy dobra, prawdy i cnoty, wyniesione z nauki religji, jest w duchu liberalnym, brukowym, żydowskim, oportunistycznym, obojętnym i bezbarwnym, jeżeli nie pornograficzno-sensacyjno-szkalująco-rewolwerowym pisana prasa, książka, broszura, czasopismo, romans, ulotka itp.

To jest ten grzyb, który podcina najbujniejsze roślinki, to jest ta rdza, co przeżera najsilniejsze i najbardziej stalowe charaktery, to jest zaraza, która zatruwa najwznioślejsze nawet ideały i zanieczyszcza najczystszą atmosferę. Wobec tego wypada powtórzyć poraz niewiadomo już który, znane słowa Piusa X.: „Na nic się wam nie przydadzą kościoły, na nic nabożeństwa... jeżeli zatrutej gazecie niedobrej książce, nieuczciwej broszurze nie przeciwstawicie gazety, książki, pisma dobrego, katolickiego... ,

Jan Kobiernicki.

Kiedy będzie kara pożyteczna.

(Z dziedziny wychowania).

Karać dzieci — to niekoniecznie b i ć. Niektórzy rodzice nie znają innej kary jak tylko kij. Tym kijem obracają na prawo i lewo, potrzeba czy nie, więcej lub mniej, wszystko jedno. Czasem matka skarży się na swe dzieci, że są nieposłuszne. Zapytana, czy je karze, odpowiada: „Panie, a dyć biję ile on kijów zbierze!“

Tymczasem kara może być różna i powinna być różna, stosowna do dziecka, do jego winy, usposobienia, zachowania się dotychczasowego. Inaczej zatem trzeba karać 2-letnie dziecko, a inaczej 10-letnie; inaczej za wielkie prokroczenie, inaczej za małe; czasem słowem surowem, czasem naganą, czasem rózgą, czasem odjęciem jakiej przyjemności.

Tu trezba dobrego zastanowienia się i roztropności. Kara nie może być śmieszna lub hańbiąca dziecko. Na taką karę dziecko w duszy się nie zgodzi i kara pozostanie bez dobrego skutku. Nie należy też pozwalać, by inne dzieci naśmiewały się z brata swego lub siostry ukaranej. To bowiem rozdrażnia dziecko i czyni je opornem.

Równie nie należy dziecku wymierzać kary przy ludziach obcych, albo publicznie, bo to odbiera dziecku wstyd i szlachetną ambicję.

Żleby było, gdyby rodzice wmawiali w dziecko, że z niego już nic nie będzie, że skończy w kryminale, albo na szubienicy. Takie upomnienia, a raczej groźby odbierają dziecku wszelką nadzieję i ochotę do poprawy.

Jakkolwiek karzą rodzice dzieci, zawsze powodować się muszą miłością, a nie gniewem, uniesieniem, zapalczywością, nienawiścią. Tylko kara od serca, trafi dziecku do serca, zmiękczy je, złamie upór i poprawi. Musi więc matka nad sobą zapanować, a słowo wymówione ze spokojem i bólem w sercu, bez przezwisk i przekleństw, poruszy duszę dziecka i skłoni je, że karę przyjmie i poprawić się zechce.

Kara musi być przyjęta w duszy, musi sięgnąć aż do wnętrza, aby wydała dobry owoc. Dziecko karane, a nie zmiękczone, myśli sobie w duszy: „poczekaj, tylko ja podrosnę, to ci się odpłacę“. Takie możesz katować, jak chcesz, ono się tylko zatwardza, a kara się go nie czepia.

---

wspierają na krzyżu Chrystusowym. — To ksiądz wikary weźmie ze sobą krzyż.

— Jeszcze jedną mam prośbę — rzekła — a na jej wargach, zamiast pomieszania, zjawił się twardy rys. — Pragnęłabym, aby ksiądz proboszcz sam przybył.

Ks. wikary nie mógł się już powstrzymać.

— Ja pójdę! — odezwał się szorstkim, zawziętym głosem. — To mój obowiązek! Taki jest zwyczaj na plebanji!

— Ależ ja nie chcę bynajmniej psuć porządku! Dziękuję za dobroć księdza proboszcza. Dobranoc!

Zarządca znowu się zerwał.

— Czy się pani nie boi psów? — Odprowadziłbym...

— Dziękuję; pójdę sama. Psy są dla mnie łaskawe.

Ostatnie słowa mocno zaakcentowała. Ks. wikary silnie zagryzł wargi; zarządca szyderczo odwrócił twarz.

Ks. proboszcz ganiąco głową pokiwał, a gdy już nie było słychać jej kroków, zwrócił się do ks. wikarego:

— Oto prawdziwie palec Boży! Kto wie, na co się przydadzą kurcze cioci Zofji!

Nic nie odpowiadając, ks. wikary opuścił pokój, wstąpił do kościelnego i przygotował Najśw. Wiatyk. Wspomnienie odbytej przed chwilą rozmowy zakłócało jego zwykłą pobożność. Przycisnąwszy do komży Ciało Najśw., przeszedł wymarłą ulicą przy świetle dogorywającej lampy kościelnego. W drodze zdawało mu się, że bliskość Pana wlewa do jego serca jakąś wzniosłą siłę i otuchę, że znikną te kłopoty i zamieszania, że skarłowacieje wszelkie niebezpieczeństwo i załamie się wszelkie sprzysiężenie o potęgę Tego, który jest wiekuistym Panem życia i śmierci.

Szkoła był to nowy budynek, a w nim jeden duży pokój stanowił mieszkanie nauczycielki.

Na skórzanej kanapie, bylejako pościelą zasłanej, leżała stara kobieta, nakryta aż pod brodę. Widać było tylko twarz jej dyszącą, mocno rozpaloną i słaby blask jej drobnych oczu, przytępionych raczej przerażeniem, niż śmiercią. Nauczycielka stała na progu, kiedy ksiądz nadszedł, cofnęła się do wnętrza. Kościelny dzwonił. Chora odkryła zwiędłą twarz i przeżegnała się.

— Proszę uklęknąć — odezwał się kapłan przytępionym głosem.

(Ciąg dalszy za tydzień).

Po wymierzeniu kary nie może ojciec czy matka być zbyt długo zasępiona lub małomowna, ani też nie może okazywać dziecku swego żalu, a tem mniej je przepraszać. Również bez ustanku wracać do tego, co się stało i ciągle to dziecku wytykać — bo to napełnia duszę dziecka goryczą i niechęcią ku rodzicom.

Z tego widać, ile roztropności musi mieć wychowawca, który chce z pożytkiem stosować karę.

P. Zarzycki.



W Meksyku trwa dalej prześladowanie katolicyzmu. Dochodzi tam do istnych walk W miejscowości Zatugo przyszło do starcia zbrojnego między żołnierzami i katolikami, którzy nie chcieli wydać kościołów. **Zabito 50 osób.** W miejscowości Acambaro również odmówili katolicy wydania kościoła, przyczem **dwóch inżynierów zostało zabitych, a trzy osoby ukamieniowane na śmierć.**

Tyran Meksyku, socjalista Calles, nie spodziewał się takiego przywiązania ludności do Kościoła i do swych świątyń. Krwiożerczy mason puszcza w świat komunikaty, że chodzi tylko o „walkę z klerem o ziemię“. Cóż ma wspólnego odbieranie kościołów i zmiana tychże na socjalistyczne biura związków zawodowych — jak to Calles uczynił w Versoruz z kaplicą św Andrzeja — z walką o ziemię?

Bardzo smutnym jest objawem, że socjalistyczny „Naprzód“ w Krakowie stale wychwala barbarzyńską tyranję Callesa. A ileż to razy ten dziennik pisał — rzekomo — w „obronie“ religji! Zwacamy pilną uwagę naszym Czytelnikom ze sfer robotniczych na te pochwalne artykuły „Naprzodu“ o Meksyku. Amerykańskie Związki zawodowe ostro potępiły to bezprzykładne prześladowanie religji Chrystusowej, a nasi polaczkowie (widocznie na rozkaz żydów!), nie posiadają się z radości.

Według ostatnich wiadomości **tyran Calles załamuje się.** I tak w Meksyku do komisji kontroli kościołów powołano — dzięki bohaterskiemu i męczeńskiemu oporowi katolików — 5 katolików i 5 osób wybranych przez władzę miejską.

Obowiązkiem każdego katolika jest modlić się na intencję zwycięstwa Chrystusa nad sługami szatana.

Pakt włosko-hiszpański,

zawarty w Madrycie w największej tajemnicy, jest sensacją dnia politycznego. Francja i Anglja wysoce zaskoczone i niezadowolone z tego powodu. W pakcie bowiem „porozumiały“ się Włochy z Hiszpanją w sprawie morza Śródziemnego i północnej Afryki. Pozatem jest to cios dla Ligi **Narodów, która coraz bardziej traci na znaczeniu.**

We Francji

p. Poincare z podziwu godną energją i pracą w krótkim czasie przeprowadził uchwalenie swych planów uzdrowienia franka, który się już znacznie poprawił. Rząd jedności narodowej p. Poincarego ma za sobą całą prawie Francję i sympatję całego świata. Tylko Niemcom nie po woli, że ten mądry i żelaznej woli polityk objął ponownie kierownictwo we Francji.

W Bułgarji

stałe niepokoje. Rumunja, Jugosławja i Grecja myślą już o okupacji i podziale tego państewka. Nieszczęśliwy ten kocioł bałkański, ciągle się z niego kurzy.

W Ameryce olbrzymich rozmiarów eksplozja benzyny uśmierciła dużo robotników, pod **Budapesztem** zaś wybuch w fabryce amunicji zabrał 50 ludzi. Również w szweckiem mieście Kiruna wyleciało w powietrze kilka magazynów prochu.

U nas w kraju

znaczna poprawa w przemyśle, liczba bezrobotnych zmniejszyła się w lipcu o 8000. Węgla wywozimy dziennie 1.500 wagonów. Ministerstwo kolejі musiało pożyczyć wagonów od Czech i Niemiec.

Zbiory nie najgorsze. W niektórych województwach wody zaszkodziły, ale przeciętnie zapowiadają się zboża nie gorzej od r. zeszłego. Bogu wszechmogącemu dzięki. **Wujaszek.**

Do wszystkich kat. Stow. Młodzieży żeńskiej archid. krakowskiej.

Chcąc Wam dać dowód, że podczas tej przerwy wakacyjnej nie zapomniałam o Was, pomimo, iż Sekretarjat zamknięty spieszę z Wami podzielić się wrażeniami jakie odniosłam ze Zjazdu delegowanych Stow. młodzieży żeńskiej diecezji tarnowskiej, który odbył się dn. 7. lipca w Tarnowie.

Delegatek było przeszło 200 oprócz pań dyrektorek i zaproszonych gości, w liczbie których jako przedstawicieli Związku krakowskiego był ks. sekretarz jeneralny i niżej podpisana. Najstarsze w diecezji tarnowskiej stowarzyszenie żeńskie z Szynwałdu założone w r. 1917 przez ks. patrona Kasprzyka przybyło na Zjazd ze wspaniałym sztandarem. Nastrój bardzo podniosły i miły. Dziewczęta w krakowskich strojach wyglądały jak barwne kwiaty.

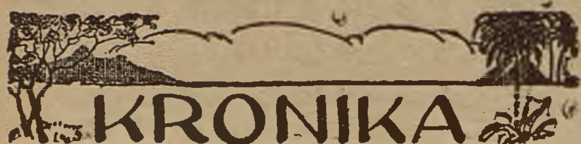
Zjazd rozpoczął się mszą św. i kazaniem, a potem zebraliśmy się wszyscy w sali wielkiej klasztoru

SS. Urszulanek. Po przemówieniach powitalnych było sprawozdanie z działalności Związku, omawiano sprawy dotyczące stowarzyszeń i wybrano Główny Zarząd Związku. Następnie redaktorka „Młodej Polki“ — którą prenumerujecie i czytacie — p. Wolniewiczówna w swoim referacie wykazała jaką powinna być członkini w stosunku do Boga, Ojczyzny, rodziny i stowarzyszenia.

Praca w Stow. tarnowskich rozwija się bardzo pięknie, w niektórych same członkinie piszą referaty. Odbywają się kursa kroju, szycia, koszykarstwa; mają kółka hodowli kwiatów. Członkinie sieją i hodują kwiaty specjalnie po to, ażeby one służyły do ubierania przez całe lato — kościoła. Jaka to ładna myśl! Nieprawdaż? Mam nadzieję, że wprowadzimy to w naszych stowarzyszeniach a Sekretarjat dostarczy dobrych i tanich nasion. Czy zgoda? Rzucam Wam moje drogie tę myśl i czekam odpowiedzi od Was, które Stowarzyszenia wprowadzą u siebie taką hodowlę kwiatów.

Przypadło mi w udziale powitać w Waszem imieniu Zjazd w Tarnowie i złożyć od Was siostrzanym stowarzyszeniom żeńskim życzenia, by Związek rozwijał się i wzrastał i wychował całe zastępy dzielnych kobiet wiernych Kościołowi i Ojczyźnie. Członkinie tarnowskie prosiły mnie parokrotnie, ażeby wszystkie stowarzyszenia diecezji krakowskiej bardzo serdecznie od nich pozdrowić. Nie mogąc tego ustnie Wam wszystkim powtórzyć czynię to za pośrednictwem kochanego „Dzwonu Niedzielnego“.

Na zakończenie Zjazdu postanowiono poświęcić cały Związek tarnowski Najsłodszemu Sercu Jezusowemu. **Anna Orłowska.**



KOMITET POMOCY UBOGIM rozwija w dalszym ciągu swoją akcję. Codziennie między godziną 12-tą a 15-tą spieszą ubodzy do jadłodajni u Sióstr przy ul. Warszawieskiej lub Krakowskiej, gdzie za znaczki zebrane od publiczności otrzymują posiłek złożony z dwóch dań (35 gr.). Od maja wydają również jadłodajnie śniadania i kolacje w postaci zupy lub herbaty z chlebem (20 gr.). Dziennie przewija się przez obie jadłodajnie od 120—160 ubogich. W ostatnich miesiącach znacznie zwiększyła się frekwencja: w lipcu wydano obiadów za sumę 577.70 zł., a w ciągu sześciu miesięcy od rozpoczęcia akcji otrzymali ubodzy z ramienia Komitetu za 2612.87 zł. Dzięki więc wprowadzeniu znaczków zamiast jałmużny pieniężnej — tę wcale pokaźną sumę zebraną z ofiarności publicznej ocalono od niepewnego użytku.

Należy jednak zaznaczyć, że zaledwie nieliczne firmy kupiectwa krakowskiego gorąco poparły pracę Komitetu, pośrednicząc w sprzedaży znaczków, wnikając w cel akcji, zmierzając do zmiany dotychczasowej ujemnej formy miłosierdzia publicznego. Od września przystępuje Komitet do wprowadzenia opłat miesięcznych dla sklepów i domów prywatnych, jako kart ochronnych, celem scentralizowania wydawania wsparć w biurze Komitetu Ubogich przy ul. Poselskiej. Dawajmy znaczki na posiłki zamiast pieniężnej jałmużny!

STARANIEM KOMITETU PARAF. z Prądnika Czerwonego odbyło się dn. 1 sierpnia przedstawienie amatorskie w Prądniku Białym. Dziewczęta wiejskie z Górki i Witkowic odegrały sztuczkę 2-aktową „Nowa przyjaźń“ i dwa monologi: „Odważne“ i pt. „Kto pytacie, to one“. Dzięki usilnym staraniom p. Janiny Torzewskiej seminarzystki z Warszawy i dzięki pilności i ochocie dziewcząt biorących udział w przedstawieniu, całość urozmaicona tańcami wypadła bardzo dobrze. Zebrane za wstępy 80 zł. przeznaczono na Ochronkę w Prądniku Czerwonym.

KALENDARZE: Kalendarz Serca Jezusowego na rok 1927. Liczne przepiękne obrazki. Treść bogata i budująca. Pokarm i rozrywka. Cena 1.20 zł. Już można nabyć.

Kalendarz Ligi Katolickiej zawiera również bogatą treść i wspaniałe ilustracje. Do nabycia za 2—3 tygodnie. Prosimy tych, którzy już pozamawiali, o cierpliwość.



Matka smaży pączki, a mały synek pyta:
— Mamo! czemu do mnie nic nie mówisz?
— A cóż mam mówić?
— Ano mogłabyś się spytać, Jasiu, czy niechcesz pączka?





Za redakcję i wydawnictwo z ramienia Katol. Związku Wyd. odpowiada Ks. Ferdynand Machay.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie pod zarządem Romana Ferka.